

Ewaryst Fedorowicz

część II z II

Sygnatura notacji: **N0486**

Data urodzenia: **26.01.1958 r.**

Data nagrania: **23.06.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 63 min, część II: 67 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ewaryst Fedorowicz: Każde spotkanie z tymi partyzantami to było przeżycie dla młodego chłopaka. A tych spotkań było multum, w różnych miejscach. I w domu moich dziadków. Dziadkowie mieli dom taki, u zbiegu Pilicy i Luciąży, do upływu. Gdzie ludzie przyjeżdżali. Tam to można było spokojnie rozmawiać, to było w lesie. Przesuwają mi się przed oczami ci wszyscy ludzie, których nie ma. Jest jeszcze tylko młodsza siostra ojca, z którą znów się umówię na nagranie kolejne. Jest młodszy brat Korbacza, dowódca ojca, ale już po dwóch zawałach. I jest jedna ciocia, żona żołnierza NSZ. Bardzo serdeczna. Pokrewieństwo jest dalekie, ale bardzo blisko ze sobą rodziny były. Za chwilę ludzi nie będzie, moje pokolenie będzie pierwsze z brzegu. Na pierwszej demonstracji byłem z ojcem 11 listopada 1979 roku. Na kolejnych bywałem już sam w stanie wojennym. Jak wspominałem, ojciec był bardzo dobrym biegaczem w AZS. Ponieważ startował na... no, studiował na KUL-u, to kiedy miał nieszczęście wygrać coś bądź być na podium, to speaker mówił: „Antoni Fedorowicz, Uniwersytet w Lublinie”. Nie wymieniali nazwy uniwersytetu. Chociaż mama z przekąsem mówiła, że „kiedy mnie nie było na trybunach, to wygrywał, jak tylko przyszedł, to był drugi albo trzeci”. Średnie i długie dystanse. Przeczytałem swoją notatkę o „Kojaku”. To jest streszczenie, potem to rozwinie. Napisałem z komendy na Łopaczewskiej, to jest błąd, na Jezuickiej. „Z komendy na Jezuickiej przywieźli chłopaka – młodsze ode mnie, bardzo wystraszonego. Wyglądał koszmarnie. Bardziej niż zwyczajowe, że tak to określe, sińce, uwagę zwracała jego fryzura, która sprawiała wrażenie, jakby się zajął nią jakiś szalony fryzjer. Jego długie i tak rzadkie blond włosy były częściowo poobcinane, częściowo wygolone jakąś tępą żyłką, a częściowo powyrywane, zostawiając placki gołej skóry. To na Jezuickiej zomowcy znęcali się nad nim w ten sposób. Nazwali to „poprawianiem fryzury”. Bogu dziękowałem, że trafiłem nie na Jezuicką, a na Wilczą, gdzie po prostu była „ścieżka zdrowia”. I potem już po przesłuchaniu i aresztowaniu przez podprokurator Tatianę Krassowską-Pieniążek czynna napaść na funkcjonariusza

MO Andrzeja Sawickiego. Powitalny oklep na dołku. W areszcie śledczym w Białotęcie klawisze, którzy sporo już widzieli w swoim klawiszowym życiu, na widok chłopaka osłupieli. Nie zastanawiając się długo, ponownie poprawili mu fryzurę, goląc go na zero, to znaczy, golił funkcjonariusz pod nadzorem klawisza, w wyniku czego chłopak a) choć to niewiarygodne – wyglądał dużo lepiej, b) natychmiast dostał pseudo „Kojak”. Ciekawostka. Prawie wszyscy byliśmy długowłosi, ale klawisze kazali nas ostrzyć całkiem przyzwoicie, w tak zwany kancik, bez traktowania tej rutynowej czynności jako dodatkowej szykany. „Kojak” nie był studentem. Pracował w Domach Centrum, ale był przesympatyczny, choć trochę nieśmiały. Byłem na jego sprawie – już z wolności – i zdębiałem, kiedy podprokurator, młody, jasny blondyn z płową brodą, zażądał dla „Kojaka” pięciu lat bez zawieszenia. Dokładnie pamiętam nazwisko tego prokuratora: Jarosław Polanowski. Uzupełnienie. Adam Hohendorff, aresztowany w tym samym czasie, drukarz, powiedziałem, co ja, też mieszka na Ursynowie, tak jak ja, spotykamy się czasem. W pociągu głównie metra. Przypomniał mi, że „Kojak”, to Mirek Kołosowski. Dodatkowo napisał o nieznanym mi fakcie, że „Kojak” po wypuszczeniu z aresztu woził dla Adama, wydawcy prasy podziemnej, co tydzień paczkę z bibułą z Łodzi. Twardy chłopak! Teraz jest relacja „Kojaka”. Oświadczenie Mirosława K., czyli Kołosowskiego, absolwenta zasadniczej szkoły zawodowej, specjalność sprzedawca: „Gdy szedłem od strony Świętej Anny w kierunku Mariensztatu, idący z przeciwka patrol ZOMO, strzelił do mnie z broni palnej, prawdopodobnie ślepymi pociskami. Wtedy uskoczyłem za mur. Wówczas patrol podbiegł do mnie. Zabrał dowód osobisty i odprowadził w stronę kompanii ZOMO. Wciągnęli mnie do starych ławek. Uderzono pięścią w twarz. Gdy upadłem na ustawione tam ławki, zaczęto mnie okładać pałami. Gdy chyba straciłem przytomność, ocknąłem się na podłodze. Jeden z zomowców wkładał mi pałę w usta. Wtedy reszta okrążyła mnie leżącego na podłodze i dalej biła. Gdy skończyli, kazali wyjść i odprowadzili mnie do nyski. Gdy siedziałem już w nysce, podbiegł jeden z nich i zaczął walić mnie pięścią w twarz. Po przewiezieniu na komendę na Jezucką kazano wszystkim zatrzymanym ustawić się w rzędzie. Jeden zomek chodził i każdego walił. Ostrzyżono. Kazano rozebrać się do slipów. Kazano stanąć na muszli klozetowej, oblano brudną wodą, po czym kazano ścierać. Gdy się ubrałem, kazano mi stanąć na baczność. Uderzono w żołądek i w głowę. Gdy wstawałem, uderzono mnie pałą. Po przesłuchaniu wrzucono mnie do maleńkiej celi, gdzie było już chyba 5 osób. Moją uwagę zwrócił jeden z zatrzymanych, miał około 20-24 lata. Całe plecy miał w pręgach, krwiakach, siniakach. Oko miał tak spuchnięte, że prawie nie było go widać”. Jestem studentem SGGW – już nowego wydziału, o czym powiem na końcu – wydziału Żywności Człowieka, gdzie...

Artur Kłus: Kiedy Pan zaczął studia?

Ewaryst Fedorowicz: Zacząłem studia w 1976 roku, a skończyłem w 1984. Byłem wiecznym studentem. I nawet prawie 9 lat było. Ale nie byłem rekordzistą. Moich kolegów studiowało 11 i 10 lat, też zmieniając te wydziały. Ciekawi ludzie bardzo. A zmieniałem wydział, bo z mojego indeksu wynika, że nie pozwolono mi zdać egzaminu jednego. Chociaż z ćwiczeń miałem doskonałą ocenę i tak dalej. No ale, tak, jestem na demonstracji. Idziemy, dużo nas. No, nie wiedzieliśmy wtedy, że tego dnia w Lubinie zabili ludzi przecież. Bo to był 31 sierpnia 1982. No, było mocno. Długi przemarsz. Głównie poruszaliśmy się po Marszałkowskiej. No ale potem część z nas... Byliśmy na placu Konstytucji, byliśmy też prawie przy św. Annie. Prawie. Część z nas poszła znowu do Śródmieścia. Spora grupa. I gdzieś na wysokości którejś z przecznicy Marszałkowskiej tajniacy nas zaatakowali. Sporą grupą, z dziesięciu ich było. No nas było więcej, ale oni mieli pały. Doświadczony w poprzednich demonstracjach – nie wiem, ile ich było, 3-4 spokojnie – zacząłem uciekać, świetnie mi szło i wpadłem gdzieś w okolice Emilii Plater. Ale wtedy pobiegła naprzeciwko nas

– było nas jeszcze kilkunastu wtedy – grupa pięciu, sześciu tajniaków. No więc gdzieś na bok. Wpadłem do budynku, jak się okazało, kościelnego, parafialnego. Gdzieś dalej, dalej, dalej, w końcu ugrzęzłem. Bo to było podwórko ślepe, więc chciałem się schować wewnątrz. Biegli tajniacy, zakonnica próbowała ich zatrzymać. Tam były siostry zakonne. Biegła, pchnęła ją na ścianę, no i koniec. Było nas trzech wtedy w tym pomieszczeniu akurat. Inni gdzieś tam się rozproszyli. No i wtedy od razu otoczyli. Uderzenie pałą po nogach, no to po prostu tak dla przywołania do porządku, tak? Nie chce się wtedy biec, naprawdę, jak się od tyłu dostaje w ten mięsień. No i w bramie już było legitymowanie. W bramie było legitymowanie. Mój dowód... Miałem nieszczęście, jedno takie duże, że ja mieszkalem wtedy w Otwocku, a w Otwocku doszło do spalenia posterunku milicji na dworcu kolejowym, to nawet nie był SOK, to była milicja. Była to jakaś prowokacja, prawdopodobnie zresztą, już to jest chyba ustalone, albo będzie, albo nie. No więc jak zobaczyli, że adres zameldowania Otwock, no to miałem niedobrze. No dostałem w żołądek. Pach! No ale to tak też można wytrzymać. No ale to od razu mnie na bok. O co chodzi? Do suki prowadzi mnie zomowiec. Suka stała już na placu, przy Dworcu Centralnym gdzieś tam. Suka, czyli taki duży star ze ślepyimi, zablindowanymi oknami. Byli tam już ludzie. Prowadzi mnie ten zomowiec, tak jakiś krępy, nie bardzo wysoki. – „Nie uciekaj, bo jak będziesz uciekał, to cię zastrzelę”. Paradoksalnie potem się dowiedziałem, że oni często mówili tak. Oczywiście nie strzelał nikt. No i do suki. Tutaj w przeciwieństwie do „Kojaka” nikt tam w suce nie bił. Było nas sporo. Takie jakieś muśnięcie po jednej nodze dostałem przy wchodzeniu, ale to też nawet nie było uderzenie. Tak że tu mi się upiekło. No ale dowód zabrali. Ten dowód się dopiero później odnalazł, jak się okazało. Zatrzymany zostałem bez dokumentów, tak było najpierw napisane. No i właśnie wiozą na Wilczą. Niedaleko mieli. No i tam ta „ścieżka zdrowia”. Przebiegłem. W środku tłum, mnóstwo ludzi. Ale też dużo zomowców pod ścianami stało. No i mnie wręcz spisywał pierwsze zeznanie jakiś cywil przy stoliku jakimś takim małym, na stojąco. Tam wszystkich na stojąco przesłuchiwali. Zresztą później prokuratorka też mnie przesłuchiwała na stojąco. No i ten spisuje. Ja mówię, że nie, że ja nie brałem udziału w demonstracji. Miałem swego rodzaju alibi, ponieważ ja w tym czasie byłem na praktykach w hotelu Forum. Więc hotel Forum, bardzo blisko. Więc ja wyszedłem z praktyk, zaplątałem się tutaj. Tak. No to powiedziałem, to napisał. No i jestem w celi takiej dużej, gdzie jest nas bardzo wielu. Właśnie wtedy spotkałem się z późniejszym specjalistą od giełdy, Bogusiem Baryłką. Tym licealistą. Pod jedną kurtkę żeśmy spali. No leżymy tam, śpimy. Było bardzo niefajnie, bo na korytarzu znęcali się nad wybranymi ludźmi i wtedy te odgłosy były okropne. Ale kiedy trwoga, to do Boga. Zawsze mówiłem o sobie, że jestem takim wierzącym katolikiem. Wtedy ślubowałem, że jeżeli wyjdę cało, to pójde na pielgrzymkę do Częstochowy. Poszedłem z ojcem razem. Sam bym chyba nie doszedł, bo jednak byłem w słabszej formie. Ojciec ze mną poszedł. Rodzina dojeżdżała, bo to właśnie koło Piotrkowa trasa była. Wałówkę przywoziła, no spaliśmy po stodołach. Tak że wtedy, jak się takie rzeczy słyszy, to człowiek jest skłonny nawet akt strzelisty wznosić. Wyciągali chłopaków na kolegium. Potem się dowiedziałem, że na kolegium. Który był wyciągnięty, to bili. Jechał na kolegium, dostawał grzywnę, no i z powrotem wypuszczali. Był jeden chłopak, licealista, przyszedł zapłakany do celi. Wszyscy myśleliśmy, że go pobili. Strasznie płakał. A powiedział, że chcieli, żeby został kapusiem. Chcieli go zwerbować, że odmówił. Nie wiem, co się z nim stało. Nie wiem, czy miał sankcję prokurator-ską, czy poszedł tylko na kolegium. Ale już się przerzedziło bardzo w celi. Kolegium swoje tam przerobiło. Zresztą, z tego, co wiem, byli obrońcy delegowani, adwokaci pro bono, bronili przed kolegiami. A mnie nikt nie chce wziąć. W pewnym momencie wywołują mnie z celi i prowadzi mnie esbek. Oni mieli jakąś obsesję tego uciekania. – „Nie uciekaj, bo ja w piłkę nożną grałem, dobrze biegam”. Ale byczek! Gdzie mam uciec? Jak? Bez sensu. Nie ma szans. Chociaż ten wątek uciekania się jeszcze będzie przewijał. No idę na piętro. Tam gdzieś wyżej, nie wiem, czy drugie.

Wysoka kamienica, siedzi kobieta. Śniada twarz. Taka ciemna karnacja, czarne włosy krótko obcięte. Ładna. Ubrana, jak to się mówiło wtedy, w komisowe ciuchy. Czyli w te wszystkie szetlandy. No, miała sukienkę, dobre buty, bo kupowało się dobre rzeczy przywożone zza granicy w komisach, ewentualnie w Pewexie. No i ona mówi, że nie ma krzesła. Stoję. Za mną stoi ten esbek, który mnie przyprowadził. Tatiana Krassowska-Pieniążek. Sprawdziłem: ta pani jest radcą prawnym na Żoliborzu. No i ona przesłuchuje mnie. Tam już specjalny formularz ma. Ale w tren... – „O, student! To Polska Ludowa – nie władza ludowa – Polska Ludowa daje ci studia, a ty socjalizm chcesz obalać? No, teraz będziesz studiował w więzieniu, a jak wyjdiesz, jeśli wyjdiesz, to podyplomowe będziesz miał wojsku”. Pani Tatiana Krassowska-Pieniążek, radca prawny na Żoliborzu, podprokurator. Ale jest w tym formularzu szereg rubryk. Jedna z nich brzmi: czy leczysz się psychiatrycznie? I wtedy doznaję olśnienia, ponieważ zanim zmieniłem wydział, szukałem urlopów zdrowotnych, tak, żeby nie brać... Ja nie zhańbiłem się dziekanką przez te 8,5 roku studiów, tylko zdrowotne. Jeden raz złamałem rękę rzeczywiście, a drugi, kiedy miałem problem na studiach, poszedłem do pani doktor i powiedziałem tak: „Dziewczyna mnie rzuciła, pani doktor, nie wiem, co zrobić, studia zawalam”. Na mnie popatrzyła, napisała mi: nerwica. Internistka, pani Angielska. A potem, bo musiałem stanąć na komisji lekarskiej w Palmie, to tak się nazywała przychodnia studencka, gdzie była komisja lekarska na Placu Narutowicza, w tych pięknych budynkach. A moi rodzice wszystkich znali w Otwocku. A moja mama poszła do kierowniczkę przychodni, Poradni Zdrowia Psychicznego w Otwocku-Świdrze, pani Barbary Czajkowskiej. Powiedziała, że tutaj no, żeby on dostał ten urlop. – „No cóż, weźmiemy go na kartotekę tutaj. Zespół Subdepresyjny”. 1979 rok. Ja sobie tak z tym żyłem, fajnie tak. Miałem ten urlop zdrowotny. Ja mówię: że tak, że się leczę. – A od kiedy? A ja mówię: od 1979 roku. Nie wiedziałem, że w tym momencie uratowałem się w ogóle. Siebie nie uratowałem, ludzie mnie uratowali. Ale musiała to wpisać, to wpisała. No i potem podpisuję ten protokół z przesłuchania. To jeszcze nie był nakaz aresztowania. To było później. Sprowadzają mnie na dołek, drugi, taki mniejszy. No i tam wszystkich tłukli na dzień dobry. Pijani byli, więc to nie było fajne, ale też mnie nie skatowali, po prostu pobili mnie i zerwali mi ten medalik, rzucili gdzieś. No co? Do celi. W celi byli kryminalni, którzy zachowali się bardzo przyzwoicie. Nikt nas nie ruszał, nas było więcej tych takich politycznych. No i jestem po jakimś czasie wezwany znowu na górę, gdzie są już dwie panie. Jest moja podprokurator Tatiana Krassowska-Pieniążek i jej przełożona pani Grażyna Szrotki. Zrobiła karierę po 1989 roku. Grażyna Szrotki. Ona oskarżała Adama Hohendorffa, tego drukarza. Weszła. Też była ubrana – tylko ona starsza – bardzo elegancko, wypachniona, i tak dalej, a ja już taki pobrudzony, że zostaję aresztowany. I nie od... tryb do-
rażny, bo to stan wojenny, nie od 3 lat w górę, bo udział w zbiegowisku był 3 lata w górę, a ja mam czynną napaść na funkcjonariusza MO Andrzeja Sawickiego, od 3,5 roku.

Artur Kłus: Ten paragraf o czynnej napaści?

Ewaryst Fedorowicz: No bo tak mi przybili, zeznał zomowiec, zeznał Andrzej Sawicki z komendy w Grodzisku Mazowieckim. Przez to, że rzucał w niego kamieniami. Akurat w tym dniu nie rzucałem kamieniami, żeby było jasne, ale to jest detal przecież. Brali zomowca, który zeznawał: temu to, temu to. No i przewożony jestem na Białotęgę. Jestem przewożony na Białotęgę. Dla mnie lato się kończy z wakacjami, czyli 31 sierpnia. No ale ten wrzesień był bardzo piękny. No głupie uczucie, jak człowiek wchodzi, wjeżdża w ogóle samochód, bramy się otwierają, tak dalej. No i cała procedura, odciski palców. Prześwietlili mnie po raz kolejny, bo przed praktykami też musiałem przejść. Nieistotne. W Białotęgę nikt mnie palcem nie tknął, żeby było jasne. Nie było żadnego bicia, żadnych szykan. Naj-

pierw byłem przez chyba trzy dni w takiej celi niefajnej, z kapusiami, jak się potem okazało. No ale ja nic nie mówiłem. To była taka procedura. Potem znalazłem się w ogromnej celi, w ogromnej celi, gdzie było nas tylko kilku, w tym dwóch kryminalistów. Artur i drugi miał „Kapitan” ksywkę. Artur cały wydzierany. O Boże! Ważna dygresja. Kiedy przewozili mnie do Tworek, oni mnie wzięli, obaj ci kryminalni, i zaczęli mówić: „Skontaktuj się po wyjściu, jeżeli ci się uda, albo przekaz informację tu i tu. Artur jest na Ogrodowej, a Kapitan – wyglądał jak conradowski wilk morski: ja jestem złodziej – gdzieś na Grochowie”. Wszystkiego się wyuczyłem na pamięć. Pamięć miałem jeszcze wtedy doskonałą. Teraz też nie najgorszą. – „Przekaż, proszę, przekaz. – Tak, tak, tak, tak”. No i potem, kiedy już wyszedłem, ja mówię, że jadę przekazać, ojciec powiedział: „Nie, spisz mi to wszystko”. Ojciec się wyuczył na pamięć i ojciec pojechał pod oba adresy i przekazał informacje dla rodzin tych złodziei. No taka prawda. Ale oni byli, no może dlatego, że nas było więcej. Tu opisałem, zaraz to doczytam, ile nas było. Wymieniłem każdego. W zasadzie nie wiadomo było, co będzie. No czekamy na sprawę, tak? Czekamy na sprawę. W tym czasie już się uruchamia, o czym nie wiedziałem, proces ratowania mnie. Po dwóch tygodniach chyba: „Wychodzić”. I wiozą mnie na Nowowiejską do szpitala psychiatrycznego, do biegłych sądowych. Skuty byłem z takim wielkim facetem, okropne to było. Ale wieźli mnie nyską zwykłą, zakratowana, ale widziałem, że tam piękny wrzesień. A ludzie sobie idą, a tutaj nas wiozą. Jestem badany przez biegłych sądowych, dwie panie doktor. Na parterze okno otwarte. Oczywiście, o czym pomyślałem? Żeby wyskoczyć i uciec. Oczywiście, że tego nie zrobiłem, na szczęście, że tego nie zrobiłem. Nie wiem, jak to się stało – później wiem, bo to ojciec dotarł przez swoje kanały – ale po prostu jest szok, bo spotkałem moją mamę. Ojca nie było, była mama. No, a rodzice tak ustalili, że kobieta będzie. Podeszła. Jeden był z drogówki, ten milicjant. I mówi, że: „jestem matką, czy pozwolę przekazać jedzenie?” On pozwolił. No i żeśmy razem z tym wielkim skuci zjedli. Nie pamiętam, czy ja byłem skuty prawą, czy lewą ręką. No byliśmy skuci, jakoś tak jedliśmy. Tak że załapał się na jedzenie ten człowiek. Nie wiem, kim był, ale chyba to był kryminalny. No i tam te panie pytają mnie o różne rzeczy, coś tam między sobą mówią. A też nie wiedziałem, że już było do nich dotarcie. I mówią, że musi pan być poddany obserwacji w szpitalu psychiatrycznym. O kurczę! Coś tam podpisał. On użył jakiegoś takiego sformułowania w ogóle fachowego. No i wracam i mówię, że coś takiego było. To ci kryminaliści mówią: „Ty słuchaj, dobrze, jest dobrze, jest dobrze”. – Jak dobrze? Ja mam iść do szpitala psychiatrycznego? Dobrze jest, tam lepiej będzie ci, jak w więzieniu. No dobra. To recydywiści byli. Jest koniec września. Fedorowicz. No biorę. Oddają mi to moje ubranie. Czekają. Długie włosy, brunet, starszy ode mnie. Tu napisałem, że jest taka sama szwedka jak moja, tylko on miał kremową, ja miałem zieloną. Wtedy naprawdę ludzie mieli ubrania podobne do siebie. Firma Finteks polonijna, przypomniałem sobie po latach. Śliczna rzecz, kopia jakiegoś zachodniego wzoru. I na mój rozmiar. Byłem szczupły, drobny. Teraz też jestem drobny. To była zielona, a ten esbek miał kremową. Bierze jakiś papier, nic nie mówi. Prowadzi mnie do Fiata dużego. Sadzają mnie w środku. On siedzi obok, tutaj jeszcze jeden obok, ja w środku, na tylnym siedzeniu. Z przodu kierowca, milicjant, w mundurze. No i teraz przeczytam to. „Siedzimy sobie w celi aresztu śledczego na Białogłocie. Brzmi to idiotycznie – ale jest spoko. Klawisze zachowują się neutralnie, o żadnym biciu nie ma mowy. Jest Romek z KPN-u, Antek Rutkowski – nauczyciel z Pruszkowa, Grydzewski, który nas trochę niepokoi, bo opowiada, że jest Żydem, że go obserwują Arabowie. – On był naprawdę chory – starsi od nas dwaj przedstawiciele sojuszu robotniczo-chłopskiego: rolnik spod Garwolina, który dostał zaraz ksywkę „Wujek” i opisany przez wtedy kędzierzawego bruneta Adama Hohendorffa – już jest łysy, tak jak ja – a zatrzymany dzień po nas hydraulik, który jako najstarszy został ochrzczony Dziadkiem. Jest też dwóch najprawdziwszych recydywistów. Wytatuowany i porźnięty na maksa Artur i starszy pan o ksywce Kapitan, wyglądający jak conradowski wilk morski i mówiący o so-

bie spokojnie: jestem złodziej. Dni mijają. Wiemy już, że w dniu naszego zatrzymania milicja zastrzeliła w Lubinie demonstrantów. Spacer w betonowym boksie powoli przestaje być atrakcją. Któregoś dnia klawisz zwołuje: Fedorowicz – zbierać się! Przenosi mnie do innej celi. Uuuu! Ale zamiast do celi prowadzi mnie do depozytu, a potem ląduję w jakimś pokoju, w którym czeka wysoki i ciemny cywil. Ma dokładnie taką samą szwedkę, jaką sobie niedawno kupiłem. A idąc na demonstrację, wziąłem grubszą kurtkę, że niby lepiej przed pałą chronić”. No i teraz tak. Nie mówią, dokąd mnie wiozł. Ja nie pytam. Widzę, że wjeżdżamy z Warszawy w kierunku na zachód. Niedobrze. Zjadł ci z drogi i mi łeb ukręcał. Ale Fiat nigdzie nie zjeżdża, tylko jedzie dalej. Dojeżdżamy do jakiegoś otoczonego murem kompleksu zabytkowych ślicznych budynków. No ślicznych, taka prawda. To... Tworki. Ojciec historyk sztuki, matka historyczka. To naprawdę jest piękna architektura: Tworki. Wchodzimy z jednym z tajniaków – właśnie z tym w szwedce – do jakiegoś gabinetu, gdzie drobna, około 40-letnia blondynka w białym fartuchu coś kwituje. I tajniak wychodzi, zostawiając mnie sam na sam z tą, co pokwitowała dokumenty. Szok! Ona się przedstawia. Jest ubrana w niebieskie dżinsy – pamiętam jak dziś – i chińskie, białe półtrampki. Wtedy szpan zupełny. Patrzy na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami, spokojny głosem mówi tak: „Tu nic już panu nie grozi, tylko proszę, niech pan stąd nie ucieknie. – Cholera, w myślach czyta – pewnie chciałby pan kogoś powiadomić, że jest pan już u nas. Proszę, tutaj jest telefon”. Dzwonię do domu, słyszę rodziców. Za chwilę wsiadają w samochód, będą za trzy kwadransy. Dostaję od blondynki kanapkę i kubek herbaty. Uśmiecha się. Rozmawiamy chwilę o tym, co się w Polsce dzieje. Jest z oczywistych względów na bieżąco. Po czym ona przechodzi do rzeczy. „Będzie pan u nas na oddziale tyle, ile będzie potrzeba, żeby zdjąć panu poczytalność”. To jest obserwacja sądowo-psychiatryczna, tak się nazywa fachowo. Proszę się nie bać. To taki sam szpital, jak każdy inny”. – Boże, jak to jest taki sam szpital? Uff. – „No i jest pan pod moją osobistą opieką. Tylko oddziałowa jest tu partyjna, ale ona jest w porządku”. Teraz ważne. Ta szczupła blondynka to śp. dr Maria Czerwińska-Sienkiewicz, ordynator w Tworkach, wspaniała, kochana, dzielna kobieta, która, jak się potem dowiedziałem, nie mnie jednemu ratowała tyłek. A prywatnie mama Kuby Sienkiewicza, Elektryczne Gitary: „Co ja tutaj robię?”. Państwo, znacie? No właśnie. Tego samego, który zaśpiewał ostatnio w Opolu zmienioną wersję piosenki z „Kilera”. No tak to się w Polsce plecie. To była bardzo odważna kobieta, przecież ryzykowała nie tylko karierą, ale i więzieniem. Cały czas obowiązywał dekret o stanie wojennym. Jej najbliższą, we wszystko wtajemniczoną współpracownicą, była dr Maria Buksowicz, a cały patent na wyciągnięcie mnie z Białołęki wymyśliła dr Barbara Czajkowska z Poradni Zdrowia Psychicznego w Otwocku. Wiele godzin pisała moją historię choroby, zmieniając kolory długopisów, wpisując kolejne wsteczne daty moich nieistniejących wizyt. To takie ciche bohaterki, jakże inne. Od tego styropianowego, pożałuj Boże establishmentu. Tak sobie myślę, że tak, no dobrze... Teraz tak, ja odwiedziłem Panią dr Buksowicz w Tworkach kilka lat temu. Muszę powiedzieć, że to była piękna kobieta i jest piękną starszą panią. I zapytałem ją, czy chciałaby, żebyśmy się zwrócili do prezydenta o jej odznaczenie. W ogóle przyjęła mnie w towarzystwie kilku świadków. No bo przyjeżdża facet, melduje się na recepcji, że tu w takiej sprawie. No wiadomo, Tworki. No i te jakieś młode lekarki chyba koło niej. Ja mówię, że jest taka i taka sytuacja. Ona mówi: „Ja nie, proszę pana, nie chcę”. Później w przerwie pokażę moją książkę wojskową, mam kategorię „E” wpisaną. Komisja Wojskowa wyimięła, jak zobaczyła papiery z Tworek. To było bardzo ciekawe miejsce, trzeba o tym powiedzieć. Wszystkie rygory musiały być zachowane. Nie było żartów. Natomiast po pewnym czasie zostałem przeniesiony z sali ogólnej, gdzie byłem z ludźmi bardzo, bardzo, bardzo chorymi. Do góry, do takiego pokoiku. To jest bardzo ciekawe. Ale najpierw wspomnę o jednym z moich kolegów. Do tej pory mam książkę z dedykacją. Dzięki szkole. No dobrze, angielskiego uczył mnie tłumacz noblistów, poeta Piotr Sommer. Odrabiał sobie refundowane liceum. Późniejszy

naczelnik „Literatury na świecie”. Bardzo fachowy periodyk. Świetny anglista. Zaszczepił miłość do języka angielskiego, katując nas nieregularnymi idiomami. A równie dobrze znam rosyjski, bo ojciec mi powiedział: „Ty się ucz, język wroga trzeba poznać”. A uczył mnie doskonała rusycysta, pan Kościelniak, zero polityki, czysty język. Tu jest taki właśnie moment, kiedy chłopak, fryzjer, mówi: „Ja mam schizofrenię”. Rozmawia ze mną normalnie. W moim wieku mniej więcej. – Ja jestem schizofrenikiem. – Co w ogóle? Nie pamiętam jego imienia. On pojechał na przepustkę gdzieś tam. Czy mama mu przywiozła, poprosił. Nie pamiętam. Mam od niego podręcznik do rosyjskiego, bardzo ciekawy. Z takimi... Ktoś nazwał pocztówki grające. „Markowi – kolega”. Jestem Ewaryst. – Jak masz na imię? – Werek. Bo tak nam nie w domu mówiono. On myślał, że Marek. Widziałem go, jak był już na prochach. Człowiek zupełnie inny. Tak że rozumiałem, co znaczy schizofrenia. No ale nagle zostaje przeniesiony do pokoiku na górze. Tam jest staruszek. Nas dwóch. On się ze mną wita. Czerniawski. Józef Czerniawski. Beret. Mnóstwo dokumentów powiązanych sznurkiem. Mnóstwo. Endek. Ja wychowany w tradycji piłsudczykowskiej. Ja staram się mówić dobrze o Piłsudskim, ale on mówi tylko o Dmowskim, że Piłsudski to nie. Nie śmiałem z nim dyskutować. W pewnym momencie on zaczyna się szykować, mówi: „Będę przeniesiony”. No, pożegnaliśmy się serdecznie. Teraz jest szalona historia. Takie sześć lat temu jestem w maleńkiej wioseczce polskiej na Wileńszczyźnie, w której będę za miesiąc, półtora. Sami Polacy, taka typowa wileńska wioseczka. Nie zawsze Internet jest nawet. No i rozmawiamy z historykami, bo tam była taka grupa. I z IPN-u taki jeden i z MEN-u. Oni endecja, jak się okazało. Ja mówię, że jest taka sytuacja. Czerniawski. Jeden mówi: „Jak to Czerniawski?” – No tak, tak. – „To czarna stopa”. Ja mówię: „Co czarna stopa?” – „To słynny działacz endecki sprzed wojny, studencki”. Jaki człowiek, jak się okazało? Człowiek, który odmówił uznania PRL-u. Odmawiał przyjęcia dowodu osobistego. Przechowywała go mama marszałka Chrzanowskiego. On nie wiedział, co z nim zrobić, no bo można zatłuc, no ale... Człowiek, który był... nie. I znalazł schronienie w Tworkach. Nie wiem, gdzie leży, nie wiem, kiedy umarł, bo przecież to był starszy pan. Ale jakie to miejsce w tych Tworkach, tak? No przecież Józef Czerniawski, dokładnie pamiętam, drobny, wyraziste rysy. Mieszkał u mamy marszałka Chrzanowskiego przez wiele lat. No dobrze, cofamy się teraz do Tworek. Kapelanem był ksiądz Roman Indrzejczyk, ten, który zginął w Smoleńsku. Kapelan w Tworkach. Wtedy był brunetem z czarną brodą. Okazało się, że było jakieś Stowarzyszenie Przyjaciół Tworek, Pani doktor Sienkiewicz, jakaś Łacińska, ładna nazwa. No, też mi dodawał ducha, tak mógłbym powiedzieć. Dodawał ducha. Przychodzi ten moment, kiedy dostaję kwit. Ja odtworzyłem te kwity na szczęcie z archiwum w Tworkach, bo po śmierci ojca do naszego mieszkania były dwa włamania. I nie zginęło nic, prócz dokumentów. Akurat może nie tych najważniejszych, ale ktoś czegoś szukał. Pewnie sprawka, tak. Bo tam koło ojca chodzili cały czas, no. Nie mógł znieść, Gałzka chyba. – Tu ma pan papiery. Teraz proszę czekać. Prokuratora umarza z takimi papierami od razu. No ale ja w tym momencie zawałem cały semestr zimowy. Nie wiedziałem, szczerze mówiąc, nie bardzo się tym interesowałem, bo to było moje mniejsze zmartwienie, że w tym czasie jest uruchomiona akcja na SGGW, żeby mnie nie wywalili od razu. No i żyjący do tej pory prorektor, pan Adolf Horubała – prawie setkę ma, kochany człowiek – i Maria Joanna Radomska, świętej pamięci rektor, przyjęli mojego ojca, który przyjechał wtedy. Mówi, że jest taka sytuacja, że ma tylko jedną prośbę, żeby mnie nie wywalali. Może się coś uda. Powiedzieli, że nie mają intencji mnie wywalić, natomiast trzeba będzie coś zrobić, żeby się nie czepiała ani bezpieka, ani nikt inny, że taki łobuz tutaj studentem jest. I mnie zawiesili. W momencie, kiedy prokuratura umorzyła, ze względu na moją niepoczytalność, sprawę, zostałem natychmiast odwieszony. 12 grudnia, nomen omen. Nawet nie wiedziałem, że wrócę na uczelnię. Nie spodziewałem się tego, nie myślałem o tym. Cieszyłem się, że wyszedłem. Ale co się w tym czasie działo? Jeden z harcerzy ojca – to jest osobna historia – założył drużynę imienia Szajnowi-

cza-Iwanowa w 1956 roku. Czy 1957 roku w Otwocku, na fali odwilży w każdym razie. Oczywiście, że była inwigilacja, bo pisała do niego matka agenta nr 1, pani Lambrianidis. Mamy te dokumenty i listy do ojca. Matka Szajnowicza-Iwanowa wyszła za mąż za Greka. Miała z nim też dzieci. Przyrodnie rodzeństwo też do ojca pisało. Jeden z harcerzy, adiunkt na SGGW, zaczął szukać dojścia. Znalazł człowieka, który mógłby pomóc, bo miał dojście do Komitetu Uczelnianego. To był jego kolega doktor Wojdalski, dziś profesor, jesteśmy na „ty” od dawna. Bardzo porządny człowiek. Janusz Wojdalski, tak. Bardzo porządny człowiek. I on znał mocno partyjnego docenta Nerynga, który załatwił to, że Komitet Uczelniany Partii się mną nie interesował. Po prostu. No jak mnie skazą, to mnie skazą. Ale nie było dęcia sprawy. Bo z tego, co wiem, ze studentów, to byłem przez pewien czas tylko ja aresztowany. Esbecja, która przecież siedziała na SGGW, jak wszędzie, się tym interesowała. Rok akademicki – napisane jest szkolny, nie wiem, dlaczego tak wydrukowano – 1978/1979, jestem studentem trzeciego roku. Jest taki przedmiot energetyka, który wyklada doktor Wojdalski. Kończyło się zaliczeniem, egzaminem. Dostałem 3,5. Doktor Wojdalski miał szefa docenta Piotra Lewickiego, mocno partyjnego, jak się wtedy mówiło. Człowiek, który kończył podyplomowe studia w Ameryce, w USA. Tak, za komuny. Wykladał przedmiot, który się nazywał inżynieria chemiczna. Bardzo trudny przedmiot. Inżynieria i aparatura dokładnie. To był przedmiot, na którym wielu ludzi kończyło studia. Był bardzo trudny. Na ponad sto osób na roku – taki rok był – z ćwiczeń były dwie oceny 4,5. Wybitna studentka Marysia Grzyb miała jedną z nich. Drugiej nie pamiętam. Było z dziesięć może czwórek. Bardzo lubiłem ten przedmiot, ja byłem z tego bardzo dobry, matma, fizyka. Inżynieria polega na tym, że modele teoretyczne sprawdzają się do pewnego momentu. Inżynierowie projektują samoloty, ale musi być oblatywacz, który wsiada i leci, czy to działa. No więc to też działa w inżynierii chemicznej. Są pewne procesy, które można do pewnego momentu teoretycznie sobie poustawiać, no ale potem trzeba mieć to coś, tak? Pochlebiam sobie, że miałem to coś. I miałem z tego przedmiotu jako jeden z dziesięciu czy dwunastu na roku czwórkę i to tak bez problemu. U tego pana Lewickiego. Co się okazuje? Pierwszy egzamin – dwójka. Mówię: no oni szaleli. Idę sprawdzić moją pracę: – powiedzmy, że trzy punkty za zadanie, tam się rozwiązywało zadania – półtora, półtora, półtora, półtora. Co jest? Jakies drobiazgi zupełnie. Studenci jacyś tacy dziwni. Mówię: „E tam, zdam we wrześniu”. Przychodzę we wrześniu – znowu gała. Mówię: ups, coś niedobrze, coś nie tak. Wtedy na tę rękę miałem, na nadgarstek złamany, urlop zdrowotny. Zacząłem się zastanawiać, co się dzieje. Nie wiedziałem przez wiele lat. Na szczęście kochany profesor Berger, 100 lat będzie miał za chwilę, mam nadzieję, że dożyje, będzie wielki jubileusz. – Stanisław Berger? – Stanisław Berger. Zabrał, jak to mówiliśmy, najlepszych, najporządniejszych wykładowców i fajnych studentów. Utworzył osobny wydział, bardzo pokrewny, Żywnienia Człowieka, na którym się znalazłem, bo prodziekan, gdzie przyszedłem z mojego poprzedniego wydziału z podaniem, żeby się zgodził na przejście na tamten wydział, już tego wiecznego studenta nie mógł znieść. Napisał: „nie zgłaszam sprzeciwu”. Ok. No i poszedłem na nowy wydział. Złożyłem papiery, zostałem przyjęty, o czym później. Natomiast tutaj dwójka są. Ale co się działo? Otóż w tym samym czasie, kiedy też równoległe wszedł przedmiot energetyka, przyszedł mój kolega Andrzej Szczęśniak. I mówi: „Słuchaj, Ty piszemy list taki – 1979 rok – w obronie doktora Wojdalskiego, bo go tam szef tępi. Podpiszesz?” Mówię: „Pewnie, że podpiszę”. Jakies 10 lat temu do mojej mamy dzwoni profesor Wojdalski i mówi: „Pani Basiu, mam swoje papiery z IPN-u”. Okazało się, że z tego listu Lewicki zrobił polityczną aferę. Wpłatał w to bezpieczeństwo. Tak. Na mnie się odgrywa Lewicki w ten sposób, że nie mogłem zdać takiego egzaminu. Ale mu uciekłem. Ten list gdzieś tam jest u Janusza. Tak już on kazał się nazywać. Czasem się spotykamy, na Powązkach na przykład. Bardzo porządny człowiek taki. No i właśnie to on był kontaktem do Komitetu Uczelnianego, który się porządnie zachował. No więc już było nieźle. Jestem zawieszony, no ale dobra. – W 1982

roku? – Jestem zawieszony, odwieszony, wracam na uczelnię 12 grudnia. Teraz będą dwie rzeczy, o których koniecznie muszę powiedzieć, bo są warte tego. Zgłaszam się do prodziekana, wtedy docenta Świderskiego, później profesora z podaniem. Zawsze byłem taki asertywny. W związku ze zezwoleniem mnie z aresztu śledczego i umorzeniem śledztwa, wnoszę o... – czy proszę, nie wnoszę – o zezwolenie mi na zdawanie zaległych przedmiotów w terminie uzgodnionym z egzaminacyjnymi.

Artur Kłus: Czy to musiał być listopad 1982 roku?

Ewaryst Fedorowicz: To był grudzień. Mnie odwiesili 12 grudnia, natychmiast pojechałem na uczelnię. – 12 listopada? – Ale dopiero 12 grudnia zostałem odwieszony na uczelnię. Tak, prawa studenta odzyskałem. Siedziałem przez miesiąc w domu i zastanawiałem się, co będę w życiu robił. Ale to jest fajne. A pan prodziekan na mnie patrzy. I pisze tylko tak: „wyrażam zgodę”. Inny wydział. No i wtedy, że tak powiem, była próba, nie moja, co tych, do których przychodziłem. Tutaj o jednym chcę powiedzieć i o drugim. Wyznaczyłem sobie, szybko pójdzie. Na nowym wydziale przedmiot „projektowanie technologiczne zakładu żywienia zbiorowego”. Wykładał go profesor Kierebiński. To był pułkownik wojska, czasami przychodził w mundurze. Przychodzę do niego z tym kwitem. Przecież mógł mnie zdmuchnąć. Dał mi trójkę, żeby nie podpaść, umiałem na więcej moim zdaniem, ale bez problemu. Żadnych szukan, żadnych problemów. Pułkownik. Ale ponieważ między wydziałami była różnica programowa, musiałem zdać botanikę, która była z pierwszego semestru. Ja starszyzna chodziłem z dziećmi z pierwszego semestru. Ja byłem po mat-fizie. Biologia w ogóle mnie nie interesowała. Próbowałem się nauczyć tej botaniki. Poszedłem na egzamin do pani dr Baranowskiej. Tak mnie zobaczyła wtedy, jeszcze wcześniej przed aresztowaniem, powiedziała: „Proszę pana, nie dam panu dwójki, po prostu proszę przyjść we wrześniu. Musi się pan nauczyć, pan nie umie”. Ja do niej przychodzę z tym kwitem, żeby się umówić na egzamin. No tak, wyznaczyła kogoś innego do egzaminowania mnie, swoją koleżankę z zakładu. I tu się zaczyna ważna historia. Jestem na uczelni, mam te 5 minut sławy, to jest naprawdę 5 minut, spokojnie. Chociaż wydział był totalnie sfeminizowany, ale wszyscy mi chcieli pomagać. No i zwróciła moją uwagę taka dziewczyna, bardzo mi się podobała, poprosiłem ją o notatki. No bo wtedy kserokopiarki dwie były, żeby było jasne, oficjalne takie. To na Chmielnej wtedy Rutkowskiego i na Ogrodowej, gdzie karteczkę się wypełniało i z dowodu osobistego i tak dalej. Komercyjnie, Rank Xerox to się nazywało. Ja mówię: „Czy mogłabyś mi dać notatki?” I ta dziewczyna pięknie pisała. Zrobiłem te notatki, przepisała je. Hej... Przyniosła mi te notatki, a ja mówię: „Wiesz, nie chodzi o te notatki, ja po prostu chciałem się z tobą umówić”. Była wściekła, do tej pory jest moją żoną. Ale ona była po biol-chemie i ona mnie nauczyła botaniki na ten egzamin. Jestem dumny, bo dostałem czwórkę. Tak że moja, wtedy nie mówiło się, partnerka, bo to nie była partnerka, to była moja dziewczyna, później naręczona, Beata Borucka z domu, Fedorowicz teraz oczywiście, nauczyła mnie na czwórkę. Patrzy, co ze mną zrobić, mówi: „Niech pan napisze referat”. Dała mi temat, napisałem referat. Ręcznie się oczywiście pisało. No dałem ten referat, ale chodzę normalnie na zajęcia. Pozawalałem przecież to wszystko. Przychodzę do profesora: – Profesorze, przepraszam, ale jaka jest ocena z tego referatu? – Panie Ewaryście, dobra jest ocena, dobra jest ocena. – Czy mam jakieś zaległości? – Proszę pana, to był bardzo obszerny referat. Gdyby jakiś niedobry człowiek przyszedł i zapytał się, na jakiej podstawie pan tutaj jest na zajęciach, jak pan zalicza, to ja powiem, że to jest bardzo dobry, bardzo obszerny referat, który powiem wszystko, co było do tej pory przerabiane. Natomiast o profesorze Bergerze muszę powiedzieć ważną rzecz, która nas ze sobą wiąże. Ja mieszkałem w Otwocku. Dojazd na Ursynów to było dwie

godziny w jedną stronę. Dojście do dworca w Otwocku, jazda pociągiem. 50 minut, teraz 40 parę. Przejście ze Śródmieścia na Centralny, z Centralnego... To był dworzec Centralny, to nie to dziadostwo, co teraz. ABBA leciała z góry, był taki zespół. Nie było tutaj budek żadnych, granity się łśniły. Trzeba było przejść aż do przystanków tramwajowych. Tam tramwajem na Rakowiecką, w autobus 104, później 182, i dopiero na Ursynów. Dwie godziny. Ja nie jeździłem na żadne wykłady. Nie jeździłem. Po prostu przez kalkę dla mnie pisały osoby zaprzyjaźnione, które mnie lubiły. A na ogół byłem lubiany. Bo ja nie wyrabiam. A profesor... i teoretycznie nie trzeba było chodzić na wykłady. Ale profesor Berger miał takie zwyczaje, że on chce wszystkich poznać. I przeczytał listę, jak ktoś się raz zgłosił, to go odkreślał. A ja jakimś, nie wiem dlaczego, no... Zawzięłem się, że ja nie przyjdę. No i mówią mi: „Słuchaj, profesor czyta Ewaryst Fedorowicz, cisza, no i przechodzi do...” Mówię: „Kurczę, zbliża się egzamin. Nie no, pójdę”, złamałem się. Przychodzę na ostatni wykład, a profesor nie wyczytuje listy. O, kurczę! No więc ja już, taki skruszony, podchodzę pod koniec wykładu: „Panie profesorze, pozwoli pan, że się przedstawię? Nazywam się Ewaryst Fedorowicz”. A profesor: „To pan jest tą mityczną postacią!” Uśmiechnął się, wykreślił mnie z tej listy. Wspaniały człowiek, wielka klasa. Żołnierz II Armii Wojska Polskiego. W życiu już tak przykładowie się nie uczyłem, jak po wyjściu. Ja byłem naprawdę dobrym studentem. Natomiast, no tak, obroniłem się na czwórkę, ponadrabiałem wszystko, co trzeba było ponadrabiać. Trzeba wspomnieć o jeszcze jednym człowieku ciekawym bardzo, z rodziny fabrykantów warszawskich, profesor Zalewski. Miałem u niego trójkę, tutaj ona jest. Też przyszedłem na taki kombajn egzaminacyjny, bo on dopuszczał zdawania połówek, a ja mówię: „Nie wyrobię się, pójdę na całość”. No i przyszło do nas tam parę osób tylko na Wielki Rok. – Pan zdał na trójkę. Umiał pan na trójkę, dostał pan trójkę. Ok. Wiem od mamy, że ktoś puka do drzwi. Niski mężczyzna, właśnie w szarej kurtce, berecie, bródka, wqs. „Nazywam się Zalewski”. Mama mówi: „Ale przepraszam, nie znam”. – Zalewski, pani syn jest moim studentem. Ja wtedy siedzę. – No to proszę. Czy potrzebna jest jakaś pomoc? Mama nie zna człowieka. Nie chwaliłem się, że mam pouwalanych tyle przedmiotów, że zdaję w tak dziwny sposób. Nie znała jego nazwiska. – Proszę pani, tu są pieniądze. Czy trzeba? – Nie, dziękuję, nie potrzeba. – Gdyby coś było potrzeba, to bardzo proszę, tutaj mój telefon. Nie musiał. Przyjechał. Takiego niesfornego studenta przyjechał. To bardzo ciekawy człowiek był. Rodzina fabrykancka, on został ukąszony komunizmem, potem wspominał tak: „Jak jeździliśmy uświadamiać chłopów, jak nas kołkami pogonili”. Strajk studencki trwał od 17 listopada do 12 grudnia. A dlaczego do 12 grudnia? – 1982 roku? – 1982. Pani rektor Radomska kazała nam się, mówiąc krótko wynosić, bo pewnie już wiedziała, co się kroi. Pani rektor Radomska była w Komitecie tym Prymasowskim przecież. Maria Joanna Radomska. Zrobiła to, trzeba powiedzieć, po profesorsku. Powiedziała, że będzie referendum. Myśmy nie chcieli przestać strajkować, ale byśmy oberwali. – Dlaczego w SGGW strajkowali studenci? – Wszyscy strajkowali w ramach solidarności z WSI, Wyższa Szkoła Inżynierska, teraz już Politechnika w Radomiu. Taki był wstrętny rektor, Hebda tam ich prześladował. Hasło było „Hebda też da!” no ale nie dał tba. Ten strajk na SGGW, zaczę od tego, jak się skończył. Pani rektor powiedziała, że ma być referendum. I pierwszaki nas przegłosowały oczywiście, bo już doskonale wiedziała, nie sądzę, żeby głosy były źle policzone, po prostu pierwszy rok, drugi rok, trzeci – wszyscy głosowali za przerwaniem strajku. A my stare wirusy chcieliśmy koniecznie strajkować. No tak. Strajk był zorganizowany bardzo ciekawie. Bo była jedna przepustka na trzech, czyli że zawsze była frekwencja 2/3. Jak kolega nie wrócił z przepustki, to się siedziało. Strajk był w gmachu na Rakowieckiej, który poznałem od podszewki dzięki temu. Spałem pod studium wojskowym. Tak, z kolegami, dalej trochę koleżanki. Wszystkie zakamarki poznałem, bo to nie można nie poznać wszystkich zakamarków przez ten czas, jak się jest. Zupełnie inaczej się odbiera uczelnię, która jest pusta, do której się ma... Nie było żadnej dewastacji, żeby było jasne. Zachowaliśmy się bardzo w porządku.

ku. Byli oczywiście szpicle, to jest niemożliwe, żeby nie było. Natomiast było bardzo bogate życie kulturalne. Bardzo. No, przychodzili różni ludzie. Przychodził Daniel Olbrychski, przychodził Krzysztof Materna. No, były wiersze, były skecze, ale na przykład przychodził Marek Materna, młodszy. Bardzo fajna piosenka studencka. Przychodził Szymon Kobyliński. Przychodził pan, którego nazwiska nie pamiętam, ze śpiewnikami patriotycznymi. Kurczę! Młodość studencka, która wtedy już zachłystnęła się trochę Zachodem przecież. Nagle okazało się, że całkiem nieźle pamięta te stare piosenki, które w mojej rodzinie akurat były często śpiewane. I przyszedł ksiądz Małkowski. On był w auli Koconiówce. Dzisiaj tam SGGW nie ma w tych gmachach, są różne urzędy, typu NFZ. Ksiądz Małkowski z tym swoim różańcem takim na palcu. Mówił o... Wtedy się nie mówiło o aborcji, wtedy mówiło się o przerwaniu ciąży, ksiądz Małkowski używał określenia „zabijanie nienarodzonych dzieci”. Trzeba przyznać, że był na tym wykładzie słuchany. Nie wiem, jak to docierało do – ale bardzo dużo osób było na tym wykładzie – jak to docierało do studentów. Młodość ma swoje prawa, nie ma co się oszukiwać. Albo sama je sobie określa. Natomiast, mówię to do kamery, nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, żeby któreś z moich dzieci mogło się nie urodzić. I myślę, że wielu tam obecnych też to zawdzięcza księdzu Małkowskiemu. Oczywiście wiem, jak ksiądz Małkowski był przeznaczony do likwidacji, że tak powiem, zamiast księdza Popiełuszki. Wiem, jak był źle traktowany przez swoich przełożonych w wolnej Polsce. W szarej sutannie, takiej trochę pocerowanej. Kiedyś go tam spotkałem na ulicy, z dwa razy chyba. Podszedłem, przywitałem się, przypominałem strajk. Uśmiechnął się, pobłogosławił. Dzielnym ksiądz. Był strajk w wyższej... już nie ma tej uczelni, teraz jest Szkoła Główna Służby Pożarniczej, a przedtem była Wyższa Oficerska Szkoła Pożarnicza, OWS. Ten strajk został przykładowo parę dni przed stanem wojennym rozbity przez antyterrorystów. Ci chłopcy do nas przyszli, bladzi, oni w ogóle byli goszczeni po różnych uczelniach, przyszli do nas na strajk. Opowiadali, jak to było z tym zdobywaniem, że był desant z góry na linach ze śmigłowca. I oczywiście jacyś tam dranie przekazali rozkład pomieszczeń, więc był też szturm przez drzwi. Zostali zdobyci, w sensie gmach, otoczeni, wywiezieni. Wyrzucani byli z uczelni. Część była przyjęta na politechniki, ale to nie na wszystkie. Chodziliśmy w ramach przepustki tylko. Nie można było tak samemu. Był taki kordon studentów z różnych uczelni naokoło tego WOSP-u, jeszcze przed rozbiciem. No tak. Tak sobie pomyślałem, że... No potem oczywiście spotkałem różnych ludzi. Naprawdę to były fantastyczne czasy. No przecież taki niby epizod drobny. Region Mazowsze zorganizował akcję malowania hasel w Warszawie. Gdzieś tak w środku strajku. Pobrać można było te czarne farby takie specjalne, pędzle. No zrobili to w ten sposób. Tego też się nie dało utajnić, to inna sprawa. No ale wystali już wtedy milicję na ulice, gdzie łapali wszystkich, którzy mieli te puszkę z farbą. I zabierali. Milicja jeszcze wtedy nie tłukła, tylko zabierała i won! Wszyscy chcieli malować Śródmieście. Tak, och jej. Myślę, że już wtedy miałem talent reklamiarza. Zainspirowała mnie kolejka dojazdowa. No i chciałem, żeby malować trasy kolejki, bo ludzie przecież jeżdżą. Zresztą tam są zażytkowe te takie wiaty z międzywojnia. No ale cóż. One się ciągną od Falenicy, takie bardzo ładne, aż do Radości albo Miedzeszyna. Gocławek już miał takie brzydkie, też żeśmy pomazali. Ale do czego zmierzam. Robert Łakomiec, do dziś pamiętam, taki uczelniasty nasz, wydziałowy atleta i kolega, miał ksywkę „Inżynier”, nie pamiętam nazwiska. Mówię: „Panowie, spokojnie, nie będziemy się pchać do Śródmieścia”. Zadzwoniłem do ojca: „Tato, jakbyś tutaj podjechał tu i tu”. Byliśmy na Pradze, spokojnie pojechaliśmy sobie. W okolice gdzieś Gocławia właśnie. – A jesteś, a co robisz? – Przyjeżdż tato, bo nie mamy jak pojechać. No to ojciec wsiadł w Fiata i przyjechał. Zobaczył nas z tymi puszkami, z tymi pędzlami. No i mówię: „Tato, to pojedziemy i pomalujemy”. To ojciec był kierowcą. Zaczęliśmy od Gocławka. Wymazywaliśmy: „TV kłamie”, „TVP”, „kocham Falską”, „NZS”. Cuda były. Ale Falenicę żeśmy zrobili. Jeszcze drugi przystanek taki, bo trzy przystanki żeśmy pomalowali. Bo farby nam zabrakło.

Na tej cegle takiej klinkierowej. Jak państwo sobie wrzucą: Warszawa Falenica przystanek, zobaczycie, to bardzo ładna architektura jest. I następny przystanek. Albo na Miedzeszynie to było, albo na Radości. Z obu stron żeśmy mazali. No i było pięknie, bo tam ludzie wsiadali, wtedy dużo ludzi jeździło pociągami, tym elektrycznym do Warszawy i z Warszawy. Z Pilawy jeździli do pracy do Warszawy, z Dębina nawet. Chłoporobotnicy głównie. Tam te nasze czarne napisy były. Potem oczywiście, jak był stan wojenny, taką szarą farbą to zamazali. Ale tak jak żartowałem: kiedyś będzie restauracja tego zabytku, bo to jest zabytek te wiaty. W środku były nawet kasy, poczekalnie, teraz to jest zamknięte. No to kiedyś się te hasła odsłonią. Może je zachowają, a może nie. Tak że jest to tam schowane. Myślę, że byliśmy jednymi z nielicznych, którzy rzeczywiście uczciwie zużyli te farby i obmalowali wszystko, tak jak trzeba. Fajni chłopcy byli. Teraz chcę powiedzieć o prokuratorach. Ten, który oskarżał o „Kojaka”, jak wcześniej wspominałem, pan Jarosław Polanowski, rzucił mi się w oczy zupełnie przypadkiem. Czytałem artykuł „Rzeczy” sprzed lat, w którym zobaczyłem jego zdjęcie. Tak, to jest pan Jarosław Polanowski. „Wczoraj w redakcji „Rzeczpospolitej” profesor Irena Lipowicz, Rzecznik Praw Obywatelskich i Marek Biernacki, Minister Sprawiedliwości, wręczyli nagrody. W 11. edycji konkursu po raz pierwszy w jego historii laur zwycięzcy przypadł prokuratorowi Jarosławowi Polanowskiemu. Jarosław Polanowski od 39 lat pracuje jako prokurator, obecnie w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie. Od lat pomaga ofiarom przemocy. Jest kawalerem Orderu Białej Wstążki, przyznawanym mężczyznom za wspieranie kobiet”. To jest jego zdjęcie. To on żądał dla „Kojaka” pięciu lat pozbawienia wolności. Byłem tego świadkiem. Zeznam przed każdym organem, jeżeli ktoś będzie chciał. – Tuż po wybuchu stanu wojennego, miałem wtedy niecałe 24 lata, napisałem ten wiersz. No i go dzisiaj zaśpiewam. [NOSTALGICZNA MUZYKA] Front przeszedł, dudniąc pod mym oknem, stary zegarek ściskam w ręce. Godziny wloką się jak pożar, a noc się syczy po kropelce. Godziny wloką się jak pożar, a noc się syczy po kropelce. Nie jestem sam. Palą się okna w wielkim domu. A tam w ciemnościach gdzieś na dole strach się przemyka po kryjomu. A tam w ciemnościach gdzieś na dole strach się przemyka po kryjomu. Palą się chwiejnie niepewnie, jakby nadziei im zabrakło. Pod każdym światłem jedno życie. Słabe i drżące jak to światło. Pod każdym światłem jedno życie. Słabe i drżące jak to światło. Nie jestem sam. Palą się okna w wielkim domu. A tam w ciemnościach gdzieś na dole strach się przemyka po kryjomu. A tam w ciemnościach gdzieś na dole strach się przemyka po kryjomu. Pan dostał kartkę zza granicy. Od wielu dni oczekiwana. Trzy słowa: kocham, bardzo tęsknię i pieczęć „ocenzurowano”. Trzy słowa: kocham, bardzo tęsknię i pieczęć „ocenzurowano”. Wyżej ktoś siedzi ze mną przy stole, na którym stoją dwa nakrycia, zabrali mu połowę szczęścia, zabrali mu połowę życia. Zabrali mu połowę szczęścia, zabrali mu połowę życia. Nie jestem sam. Palą się okna w wielkim domu. A tam w ciemnościach, gdzieś na dole strach się przemyka po kryjomu. A tam w ciemnościach, gdzieś na dole strach się przemyka po kryjomu. Nie idźcie spać, w nocy się wszystko może zdarzyć. Rano, gdy słońce zgasi świecę, poznamy swoje szare twarze. Rano, gdy słońce zgasi świecę, poznamy swoje szare twarze.